

**WOJCIECH
CHMIELARZ**

PROSTA SPRAWA

MARGINESY

Czacha przykładął wielką wagę do wyglądu. W stu procentach zgadzał się ze stwierdzeniem, że tylko raz można zrobić pierwsze wrażenie. A także doskonale pamiętał, że większość komunikacji odbywa się głównie pozawerbalnie, odpowiednia aparycja oszczędza naprawdę dużo mówienia. Poza tym zawsze bardziej czuł się człowiekiem czynu niż słów i uważał, że gangster powinien wyglądać jak gangster. Nosił więc czarną skórzaną kurtkę, gruby złoty łańcuch, niebieskie dżinsy, dobre sportowe buty i okulary przeciwsłoneczne za kilkaset złotych. Do tego golił głowę, chodził na siłownię oraz brał anaboliki, żeby zbudować odpowiednią sylwetkę. Robił wszystko, by ludzie się go bali, i odnosił na tym polu spore sukcesy. Dlatego właśnie bolało go to, jak prezentował się jego szef. Nie chodziło nawet o wiek. Facet miał ponad pięćdziesiąt lat, ale przecież wszyscy się starzeli. To był naturalny proces i Czacha zdawał sobie sprawę, że on także nie młodnieje. Chodziło o wygląd. Szef ubierał się najczęściej w szorty lub stary, znoszony dres i poplamione tiszerty. Na napuchniętych z powodu cukrzycy stopach nosił klapki, a rumianą twarz ozdabiał mu nierówny siwy wąs. Chyba nigdy nie zajął do barbera. Cholera, nie wiadomo nawet,

kiedy ostatnio odwiedził zwykłego fryzjera. Jak kogoś takiego można traktować poważnie? Pewnie nawet sam Czacha by go lekceważył, gdyby nie fakt, że facet na jego oczach bez chwili wahania zabił dwóch ludzi. Jednego zastrzelił, a drugiego tak długo walił kijem bejsbolowym, aż ten zmienił się w krwawą miazgę. Mimo wyglądu pijaczka spod sklepu monopolowego szef był groźnym i bezwzględnym człowiekiem, dlatego Czacha szedł na spotkanie z duszą na ramieniu. Szczególnie że nie miał do przekazania dobrych wieści.

Musiał wejść przez bar na zaplecze sali zabaw, następnie minąć magazyn i pokonać korytarz koło łazienki. Przed potężnymi stalowymi drzwiami gabinetu zawsze siedział jeden ochroniarz. Czacha przywitał się z nim skinieniem głowy.

– Do szefa? – zapytał ochroniarz.

– A po co innego miałbym przychodzić?

Ochroniarz wzruszył ramionami.

– Poczekaj – mruknął, po czym zniknął w środku. Po kilkunastu sekundach wrócił. – Możesz wejść.

Czacha przekroczył próg i ruszył długim, ciemnym, obiskurnym korytarzem, w którym zawsze śmierdziało wilgocią. Wreszcie dotarł na miejsce. Choć znajdował się z dala od sali zabaw, wciąż dochodziły go śmiechy dzieciaków i sącące się z głośników słodkie przeboje.

Gabinet prezentował się równie niechlujnie, co sam szef. Ściany od lat domagały się malowania, meble nadawały się tylko do tego, żeby je porąbać i napalić nimi w piecu, a stojąca na biurku butelka johnniego walkera może i robiłaby wrażenie w latach osiemdziesiątych, ale teraz według Czachy była po prostu obciachowa. Śmierdziało tu chipsami i papierosowym

dymem, obok biurka zaś stał wiecznie przepełniony kosz na śmieci. Jakby nikt nigdy go nie opróżniał.

Szef siedział na niemiłosiernie skrzypiącym przy każdym ruchu krześle i wpatrywał się w ekran komputera. Czacha wiedział, że jest na nim wyświetlany podgląd z kamer monitoringu. Szef lubił obserwować dziewczynki, które bawiły się w jego przybytku, a jeśli miał okazję, jeszcze bardziej lubił sprowadzać je do swojego gabinetu. Lubiał młode, właściwie coraz młodsze.

Szef z żalem oderwał wzrok od ekranu, opadł na oparcie krzesła i wypił łyk energetyku.

– I co tam, Czacha? Znalazłeś go?

W jego głosie wybrzmiała groźba. Czasze stanął przed oczami mężczyzna pobity na śmierć bejsbolem. Przełknął ślinę.

– Jeszcze nie – wymamrotał.

– Co takiego?

– Jeszcze go nie znaleźliśmy – powtórzył głośniej.

Szef oparł się o blat biurka i podniósł z ciężkim westchnieniem, po czym począł do Czachy. Na jego twarzy malowało się niezadowolenie, a niezadowolonemu szefowi do głowy przychodziły straszne pomysły.

Jedna część mózgu Czachy mówiła mu, że na zdrowy rozsądek nie ma się czego bać: to tylko starszy facet z nadwagą i ciałem zniszczonym przez alkohol, tytoń i cukrzycę. Młodszy, sprawniejszy i silniejszy mężczyzna, jakim był Czacha, teoretycznie powinien go bez trudu powalić. Tyle że ta druga, bardziej pierwotna część mózgu mówiła co innego. Szef może i jest już starym, wyliniałym lwem, ale ten lew ciągle potrafi kąsać, zabijać i robi wszystko, żeby utrzymać pozycję samca

alfa. Ta część mózgu wiedziała, że lepiej z nim nie zaczynać, jeśli chce się wrócić do domu w jednym kawałku.

– Czy wy go w ogóle szukaliście? – warknął szef.

Czacha poczuł jego kwaśny oddech na twarzy.

– Szukaliśmy. Szukaliśmy wszędzie. Po całej Jeleniej i okolicach. Nigdzie go nie ma!

– Jest! Tylko nie potraficie go znaleźć!

– Może już wyjechał! Na jego miejscu dawno bym stąd zniknął!

Szef spojrział na niego tak, jakby chciał go spoliczkować, po czym pokręcił gniewnie głową.

– On tu siedzi. Sam nie wiem dlaczego, ale tutaj siedzi. I wy musicie go znaleźć. Więc weź dupę w troki i zacznij go szukać!

Czacha milczał.

– No co się tak gapisz?! – ryknął boss.

Czacha wziął głębszy oddech i zebrał się wreszcie na odwagę.

– Może trzeba powiadomić Czechów? – powiedział nieśmiało.

Szef najpierw lekko pobrałdł, a potem poczerwieniał.

– Nie chcesz informować o tym Czechów – rzucił, wypływając słowo za słowem.

– Ale oni mają większe możliwości i...

– Nie chcesz informować o tym Czechów! – wydarł się szef, teraz już tak wściekły, że aż cały się trząsł.

Odwrócił się na pięcie, chwycił butelkę johnniego walke-
ra, nalał sobie do szklanki i wypił duszkiem. Potem otarł usta
wierzchem dłoni.

– Nie znasz tych ludzi, Czacha – powiedział, odwracając się. – To nie są zwykłe pepiki. Może i śmiesznie mówią, ale to prawdziwi skurwiele. Naprawdę nie chcesz ich zawiadamiać o tym, co się tutaj stało. Nie chcemy, żeby przyjechali, bo wtedy wydarzą się straszne rzeczy. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak straszne. Rozumiesz?

Nie do końca rozumiał, jednak skinął głową. Był wstrząśnięty. Jego szef, prawdziwy twardziel, wydawał się teraz naprawdę przestraszony.

– I jest jeszcze jedna rzecz, Czacha.

– Tak?

– Jeśli oni się o tym dowiedzą, jeśli tutaj przyjadą, najpierw zjawią się u ciebie, bo to ty odpowiadasz za tę operację. Nie u mnie, u ciebie. Dlatego naprawdę dobrze ci radzę: zamiast marnować czas, weź się do roboty i znajdź Prostego!

W moim życiu wydarzyły się dwie, raczej rzadko spotykane rzeczy. Po pierwsze, miałem sporo gotówki. Po drugie, uznałem, że powinienem na pewien czas zniknąć z miasta. W tej sytuacji postanowiłem udać się do Jeleniej Góry i oddać wreszcie Prostemu pieniądze, które wisiąłem mu od dobrych kilku lat.

Przyjechałem koło ósmej rano i zostawiłem torbę w przechowalni. Obok dworca znalazłem knajpkę, a właściwie budę z prostym żarciem. Zamówiłem hamburgera z frytkami i kawę. Jedno i drugie smakowało okropnie, ale dostarczyło mojemu organizmowi odpowiednią liczbę kalorii.

Za ladą stała ponaddwudziestoletnia dziewczyna o farbowanych kruczoczarnych włosach i imponującej kolekcji kolczyków w nosie, uszach i zapewne wszystkich innych możliwych miejscach. Zapytałem ją o adres Prostego. Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Nie może pan sprawdzić w komórce?

Wyjąłem z kieszeni nokię 3310. Dziewczyna gwizdnęła z uznaniem.

– *Old school* – stwierdziła. – Ale Google Maps to na tym nie ma.

– Telefon ma być do rozmawiania i wysyłania esemesów – odparłem. – Tyle mi wystarczy.

– Ale z internetem się pan nie połączy. Messengera też nie sprawdzi.

– Jeśli ktoś ma do mnie ważną sprawę, to zadzwoni.

Przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, jakbym przyleciał z innej planety.

– Zabawny pan jest.

– Ano.

Uśmiechnęła się, odsłaniając rząd białych, drobnych zębów.

– To wie pani, gdzie jest ta ulica? – zapytałem powtórnie.

Dziewczyna sięgnęła do kieszeni spodni i wyjęła swoją komórkę. Uruchomiła odpowiednią aplikację, wpisała adres, po czym pokazała mi ekran.

– My jesteśmy tutaj, a pan chce się dostać tutaj – powiedziała.

– Aha... A pożycz mi pani długopis?

Wzruszyła ramionami i podała pisak. Szybko przerysowałem mapę na chusteczkę, schowałem ją do kieszeni i podziękowałem, zostawiając napiwek. Pewnie pierwszy, jaki kiedykolwiek tu widzieli.

– Pana telefon tego nie potrafi, nie? – rzuciła na pożegnanie, machając swoim smartfonem.

– Nokie są nieśmiertelne – wyjaśniłem. – Bateria trzyma przez dziesięć dni. Mój aparat może spaść na ziemię, mogę nim rzucić, może wylądować w kałuży i ciągle będzie działać. Kurczę, w najgorszym wypadku mogę go nawet wykorzystać jako broń i przyłożyć nim komuś w głowę. O ilu smartfonach można to powiedzieć?

– Zrobił pan to kiedyś?

– Co takiego?

– Użył tego telefonu jako broni?

– Nie, ale chciałbym mieć taką możliwość.

Prosty, jak się okazało, mieszkał w zaniedbanej kamienicy trzy kilometry od dworca. Niegdyś ładny budynek, teraz straszyl odpadającym tynkiem i niszczącym samochodem na podwórzu.

Wszedłem na drugie piętro. Drzwi od lokalu Prostego nigdy dotąd chyba nie wymieniono, co oznaczało, że miały ponad sto lat. Z jednej strony doceniałem ich misterne zdobienia, ale z drugiej, sądząc po ich stanie, wystarczył jeden, góra dwa solidne kopniaki, żeby rozleciały się w drobny mak.

Wcisnąłem przycisk dzwonka. Raz, drugi, trzeci. Prosty nie wyglądał na człowieka, który wstaje z kurami, liczyłem się więc z tym, że będzie jeszcze spał, jednak po kilku minutach czekania pomyślałem, że coś jest nie tak. Zapukałem głośno i znowu nikt nie zareagował.

Podrapałem się po policzku. Mój plan zakładał, że oddam pieniądze Prostemu, a potem przewaletuję u niego kilka dni. Kiedy ostatni raz się widzieliśmy, serdecznie mnie do siebie zapraszał. Co prawda nie uprzedziłem go o wizycie, ale liczyłem, że nie wycofa się z obietnicy.

Po chwili postanowiłem, że powłóczę się trochę po Jeleniej, odwiedzę jakieś muzeum i wrócę późnym popołudniem. Jeśli wtedy nie zastanę Prostego, będę musiał poszukać taniej kwatery. Zanim jednak poszedłem, odruchowo nacisnąłem klamkę.

Drzwi ustąpiły.

Wślizgnąłem się do mieszkania.

W środku wyglądało jak po huraganie: szuflady i ubrania wywalone na podłogę, wyprute kanapa i fotel, stłuczone talerze i kubki. Od razu wykluczyłem rabunek, ponieważ telewizor stał na swoim miejscu, a obok komody dostrzegłem kilka złotych łańcuszków i pierścionek. Jacyś nieproszeni goście najwyraźniej czegoś tu szukali i sądząc po zniszczeniach, nie znaleźli, ale poza tym wewnątrz wydawało się zadbane – meble tanie, choć raczej nowe, ściany pomalowane, porządne panele, czysta łazienka. Prosty, jakiego pamiętałem, wołał wydawać pieniądze na alkohol i papierosy, a nie na remont. Cóż, uznałem, ludzie się zmieniają. Powód tej zmiany poznałem, kiedy wszedłem do drugiego pokoju. Był mniejszy i należał do kilkuletniej dziewczynki. Na różowych ścianach wisiały rysunki – zwyczajowe scenki: zwierzątka, słońeczko, kwiatki. I oczywiście rodzice, tyle że na tych pracach, które wykonała jako młodsze dziecko, o czym świadczył ich poziom – mniej szczegółów, nierówne linie, ludziki zbudowane z samych kresek i kółek – występowała wyłącznie w towarzystwie matki. Później matka zniknęła i pojawił się ojciec. Założyłem, że to Prostý. Dopiero na ostatnich rysunkach znowu zauważyłem kobietę – teraz już ubraną na białą, w czepku pielęgniarskim z czerwonym krzyżem.

Na podłodze walały się zniszczone i wypatroszone maskotki. Nawet ich napastnicy nie oszczędzili. Przy łóżku dostrzegłem stalowy chromowany stojak – taki, jakiego używa się w szpitalu, żeby zawiesić na nim kroplówkę. Brakowało za to dziecięcych ubrań.

Spędziłem w tym mieszkaniu jeszcze około dziesięciu minut, szukając czegoś, co zdradziłoby, co stało się z Prostým, ale niczego nie znalazłem. Uznałem więc, że nic tu po mnie, bo

i tak raczej nie wróci w najbliższym czasie. Kiedy już miałem się zbierać, usłyszałem, jak ktoś otwiera drzwi.

– Wiemy, że tu jesteś! Wyłaż!

Mieszkanie było niewielkie, więc ukrywanie się nie miało żadnego sensu. Poza tym nie robiłem niczego złego – po prostu przyjechałem odwiedzić kolegę. Nie ja narobiłem tego bałaganu ani też niczego nie ukradłem. Wyszedłem na korytarz. Szybko zorientowałem się, że czekający tam dwaj młodzi mężczyźni nie są z policji. Łysy w niebieskich dżinsach i czarnej skórzanej kurtce żuł gumę i bardzo starał się wyglądać na gangstera. Stojący za nim kolega wybrał wygodniejszy, sportowy strój.

– Dzień dobry – przywitałem się.

– Gdzie jest Prosty?

Zadał to pytanie agresywnym tonem, jednak postanowiłem wykazać się dobrą wolą.

– Niestety, nie mam pojęcia. Na pewno nie tutaj – odparłem zgodnie z prawdą.

– Wiemy, że nie tutaj! – ryknął łysy. – Pytamy, gdzie jest!

– A ja odpowiadam, że nie wiem. Teraz przepraszam panów, ale chciałbym wyjść.

Zrobiłem krok w ich stronę, gdy ten z przodu zastąpił mi drogę.

– Nigdzie stąd nie pójdziesz, dopóki nie odpowiesz nam na pytania!

To już była zupełnie inna rozmowa. Moja dobra wola momentalnie wyparowała. Bardzo nerwowo reaguję, kiedy ktoś próbuje ograniczyć mi swobodę.

– Nie – powiedziałem krótko.

Gość sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej pałkę teleskopową. Rozsunął ją jednym zamaszystym ruchem.

– Uuu... Ostro jedziesz z frajerem, Czacha! – rzucił koleś w dresach.

– Zamknij się, Staszek.

Staszek i Czacha. Wiedziałem już, z kim mam do czynienia, jednak ja nie zamierzałem się przedstawiać. Skupiłem się na ocenie sytuacji. Czacha, wielki facet, umięśniony i sprawny, ewidentnie próbował mnie zastraszyć. W dziewięciu przypadkach na dziesięć to najbardziej racjonalny wybór, gdyż strach jest potężną bronią. Sama groźba dokonania aktu przemocy wystarczy, żeby napastnik osiągnął zakładane korzyści, a równocześnie zminimalizował ryzyko. Bo kiedy naprawdę trzeba zaatakować, nie wolno wykluczać, że coś pójdzie nie tak, bo zawsze można ponieść straty: złamać rękę, nadwyrężyć nadgarstek lub zostać ugryzionym do krwi przez przerażoną ofiarę. Tak, w dziewięciu przypadkach na dziesięć zastraszanie to najlepszy możliwy wybór.

Problem Czachy nie polegał nawet na tym, że trafił na tę jedną sytuację na dziesięć, kiedy tak nie było. Chodziło raczej o to, że jeszcze o tym nie wiedział.

Mechanizm zastraszania jest dość uniwersalny i podobny u wszystkich zwierząt. Generalnie trzeba wydać się przeciwnikowi kimś groźniejszym od niego, najlepiej udając, że jest się większym niż w rzeczywistości, oraz naruszyć jego przestrzeń osobistą. I tak właśnie zrobił Czacha. Zbliżył się do mnie, po czym stanął na szeroko rozstawionych nogach i lekko wysunął do przodu głowę, rozkładając przy tym ramiona, jakby chciał zająć całą przestrzeń wokół siebie. Paradoks polega na tym, że

tak właśnie nie należy zachowywać się podczas walki. Wtedy trzeba się skurczyć i przycziąć, by stać się trudniejszym celem do trafienia, oraz zachować odpowiedni dystans, by łatwiej uniknąć ciosów, a równocześnie móc wyprowadzić swoje.

Czacha popełnił klasyczny błąd złego odczytania sytuacji. Trudno go winić. Zrobił tak podświadomie. Dyktowały mu to wypracowane przez miliony lat ewolucji mechanizmy biologiczne. Moją postawę – przygarbione plecy, ugięte nogi i pochyloną głowę – uznał za dowód na to, że strategia zastraszania działa. Tymczasem ja już walczyłem.

Jego wysunięta ku mnie głowa stanowiła oczywisty cel. Zbliżył się do mnie, naruszając moją przestrzeń osobistą, i tym samym znalazł się w moim zasięgu. Nie musiałem zrobić nawet jednego kroku. W tej chwili był jak worek bokserski.

Postawiłem na klasykę. Dwa proste. Najpierw lewy, potem prawy. W momencie, kiedy moja prawa pięść trafiła go w szczękę, byłem już lekko skręcony, więc wyprowadziłem lewy sierpowy. Tyle wystarczyło, żeby jego głowa odskoczyła w bok, a on osunął się po ścianie.

Staszek szeroko otworzył oczy. Potrzebował ułamka sekundy, żeby zdecydować, co zrobić – pomóc koledze czy raczej się na mnie rzucić. Nie zamierzałem mu tego ułatwiać i ruszyłem w jego kierunku. Uniósł ręce, spodziewając się, że spróbuję znowu jakiegoś bokserskiego ciosu, więc zamiast tego kopnąłem go w brzuch. Zgiął się wpół. Wtedy chwyciłem go za włosy i użyłem kolana. Usłyszałem chrupnięcie, kiedy złamałem mu nos, i kolejne, kiedy następnym ciosem wybiłem mu zęby. Uznałem, że to wystarczy. Puściłem chłopaka, a ten zgodnie z moimi oczekiwaniami poleciał na ziemię.

Wróciłem do Czachy. Zaczynał dochodzić do siebie, więc pomogłem mu wrócić do krainy snu za pomocą kolejnego prostego. Kiepsko wyglądał, zasługiwał na odpoczynek.

Przeszukałem go. Znalazłem portfel i sprawdziłem dowód osobisty. Teraz żałowałem, że nie mam ze sobą telefonu z aparatem. Musiałem polegać na pamięci. Marek Czaszkowski – to wyjaśniało, skąd wzięła się jego ksywa. Zapamiętałem adres. W drugiej kieszeni natknąłem się na pistolet. Czeską cezetkę wersję 82. Solidną dobrą broń, naładowaną, z pełnym magazynkiem. Czacha mnie zaskoczył. Nie doceniłem go. Nie sądziłem, że ma przy sobie pistolet. Najwyraźniej był kimś ważniejszym, niż zakładałem.

Broń postanowiłem zachować. Wziąłem od Czachy jeszcze pięćset złotych z portfela i sprawdziłem Staszka. U niego nie znalazłem niczego ciekawego. Załedwie dwadzieścia złotych w kieszeni.

Zostawiłem tę dwójkę w mieszkaniu i wyszedłem z kamienicy. Potrzebowałem chwili, by ułożyć sobie ostatnie wydarzenia w głowie i przygotować plan działania na przyszłość. Przyznam szczerze, że przyjeżdżając do Jeleniej Góry, zupełnie nie spodziewałem się takiego rozwoju wypadków. Trudno było jednak nie zauważyć rzeczy oczywistych – Prosty potrzebował pomocy.